



*Wartka akcja, umiejętnie dawcowane napięcie oraz niebanalna intryga o ważkim znaczeniu sprawiają, że książkę czyta się z ciekawością oraz przyjemnością. Zwłaszcza, że jej karty zapelniają wyraziści, dziarscy, a przy tym honorowi i sympatyczni bohaterowie.*

*Karolina Mucha, Granice.pl*

Jerzyk ma sokoli wzrok i tęgi umysł, dzięki którym w mig rozwiązuje każdą zagadkę. Ale czy da sobie radę, gdy trafi na historię godną samego Sherlocka Holmesa? Szczególnie że podejrzany przybysz jest uzbrojony. Na szczęście młodociany detektyw może liczyć na pomoc nieustraszonej Bronki i samego... Kornela Makuszyńskiego!

Cała trójka zrobi wszystko, by zapobiec zbliżającemu się zamachowi na prezydenta. Nie wiedzą tylko, że rozwiązanie zagadki leży zupełnie gdzie indziej i związane jest z pewnym zakonikiem, który odwiedził Czerwińsk ponad sześćset lat temu...



Książka otrzymała wyróżnienie w konkursie Samochodzika Książka Roku

### **Zuzanna Orlińska**

Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, pisarka i ilustratorka. Jej książki zdobyły wiele nagród i wyróżnień. Gdyby miała przenieść się w przeszłość, chętnie pospacerowałaby po powojennej Warszawie, porozmawiała z Kazimierzem Wierzyńskim lub zagrała w brydża z panem Makuszyńskim...

## PROLOG

### 1310

Ojciec Maciej, opat klasztoru kanoników regularnych w Czerwińsku, stał na szczycie wzgórza. Za jego plecami wznosiły się masywne obronne mury świątyni, zbudowanej z wielkich granitowych ciosów. U jego stóp, w szarofioletowej mgiełce zapadającego zmierzchu, leżała cicha, senna osada – zaledwie kilka małych domków przycupniętych nad brzegiem szeroko rozlanej rzeki.

To właśnie w tym kierunku, na rzekę, spoglądał ze wzgórza opat, tam czegoś wypatrywał, wytężał starcze oczy, by dostrzec wyłaniający się z mroku kształt, który spodziewał się zobaczyć. Ale dopiero kiedy słońce całkiem się skryło, stary opat ujrzał ciemny, smukły cień przesuwający się po powierzchni wody. Wąska, długa łódź nadpłynęła od zachodu niemal bezszelestnie, choć wioślarze musieli pracować w pocie czoła, bo ładunek był ciężki.

Opat skinął na kilku mnichów z pochodniami w dłoniach i zaczął schodzić po kamiennych schodach ku brzegowi rzeki.

Stąd widział już wyraźnie biały żagiel z czerwonym krzyżem. Przyspieszył kroku i szeroko otworzył ramiona na widok wysokiego, odzianego w biały płaszcz mnicha, który właśnie wysiadał z łodzi.

– Bracie! – zawołał wzruszony.

– Witaj, bracie! – odpowiedział tamten i uściśnął go mocno.

Stali obaj na brzegu, przyglądając się, jak bracia służebni w brązowych habitach wyładowują z łodzi okutą skrzynię. Potem opat ujął przybysza w białym płaszczu pod ramię i poprowadził go uroczyście w stronę ogromnego kamiennego gmaszyska na wzgórzu. Za nimi podążyli mnisi z pochodniami, oświetlając drogę sługom, którzy dźwigali z mozołem ciężki kufer.

Opat Maciej i jego gość pokonali tę drogę w milczeniu. Dopiero za bramą na klasztornym dziedzińcu zaczęli swobodnie rozmawiać. Opat uprzejmie wypytywał o podróż, gość w białym płaszczu odpowiadał krótkimi, zwięzłymi zdaniami, a w jego nienagannej łacinie można było dosłyszeć lekki francuski akcent. Ponownie uściśnął starego opata i żarliwie zapewnił o swojej dozwonnej wdzięczności.

– Czuję, że nasz czas się kończy – powiedział ze smutkiem. – Złe chwile przyszły na Zakon Ubogich Rycerzy... Widać Bóg chciał, żeby świat się od nas odwrócił.

– Odwagi! – opat znów serdecznie uściśnął dłoń przybysza. – Wszak mówi Pismo: „Wtedy będą was uciskać i zabijać, i z powodu mojego imienia będą was nienawidzić wszystkie narody”.

– Tak – zakonnik pokiwał głową. – A jeszcze czytamy w Ewangelii: „Gdziekolwiek jest padlina, tam zbiorą się i sępy”. – Pochylił się ku opatowi i dodał gorączkowym szeptem:

– Bracie... sępy latają nad naszymi głowami. Czuję, że pada już na nas cień ich skrzydeł! Błogosławieni, którzy się nie ulękną i pozostaną naszymi przyjaciółmi! Komandor Królestwa prosił, aby ci przekazać, świątobliwy opacie, że twoje miłosierdzie zostanie wynagrodzone...

– ...Na Sądzie Ostatecznym, w co ufam i co niech Bóg dopuści! – gromkim głosem zawołał ojciec Maciej, a echo tego okrzyku odbiło się od klasztornych murów, jakby cała budowla łączyła się z opatem w tej samej nadziei. – Pójdź, bracie, za mną, ofiarujesz swe troski Panu w jego świątyni.

Pchnął ciężkie okute odrzwia i pierwszy wszedł do kościoła. Przybysz rzucił jeszcze tylko kilka poleceń sługom i podążył za gospodarzem. Przechodząc pod łukowatym sklepieniem, pochylił się, a jego dłoń pogładziła brązową kołatkę w kształcie głowy lwa.



1930

Czasami Wisła wydawała się szara, czasem siwa jak piórko mewy, rzadziej niebieska niczym gołębie skrzydło. W wietrzne dni fale połyskiwały bladą barwą rybiego brzucha. Woda zmieniała kolor w zależności od pory dnia, zachmurzenia, wiatru. Bywało, że odwróciłeś głowę, a potem spojrzawsz znowu – i już przed tobą jakby zupełnie inna rzeka. W słoneczne

dni widać było dokładnie każde drzewo na drugim brzegu, każdą rybitwę, która przysiadła na piaskowej łasze. Zwykle jednak nad wodą unosiła się sinoróżowa mgielka, rozmywająca zarysy tego, co w oddali.

A zapach rzeki! Słodkawa woń gnijących przy brzegu resztek roślin, ryb, wysuszonego wiatrem drewna i smoły, którą uszczelniano łodzie. Dopiero wciągając ten zapach głęboko do płuc, człowiek czuł, że oddycha.

Jerzykowi nigdy nie było dość Wisły. A tyle się na niej działo! Wiosną i latem panował ruch jak na zatłoczonej miejskiej ulicy. Pływały po rzece długie smukłe baty, towarowe berlinki, wielkie holowniki i zwykłe łódki-pychówki. Pływały tratwy, żagłówki i kajaki. Ale najważniejsze oczywiście były parowce. Jerzyk nie musiał spoglądać na rozkład rejsów wywieszony na tablicy koło przystani. Znał go przecież na pamięć. Wiedział, o której przy pływa Goniec, a o której Bajka. Rozróżniał je po sylwetce i po ilości kominów. Obojętne, gdzie był: na rynku, w domu czy na klasztoru – wystarczyło pomiędzy drzewami wypatrzeć smużkę dymu i usłyszeć charakterystyczny sygnał okrętowej syreny. Każdy statek miał własną śpiewkę – jeden buczał basem, drugi zawodził cieniem, jeszcze inny wydawał przerywane pobekiwanie. Na ten dźwięk każdy czerwiński chłopak, choćby właśnie kradł jabłka w klasztornym sadzie albo toczył przed sobą fajerkę po ulicy, rzucał swoje ważne zajęcie i biegł w te pędy do przystani. A Jerzyk zawsze był pierwszy. Mały i zwinny, umiał sobie utorować drogę w tłumku zgromadzonym na brzegu pomiędzy wiejskimi babami z koszami pełnymi jaj, Żydami w chałatach, eleganckimi pasażerami, którzy pragnęli zwiedzić zabytkowy

klasztor, zanim dalsza trasa wycieczki powiedzie ich w inne strony, a zwykłymi gapiami, których przy takich okazjach najwięcej.

– Uważaj, smarkaczu, jak leziesz! – ofuknął go jakiś gruby, wąsaty jegomość, który, ostrożnie stąpając, zszedł z pomostu i w swoich tenisowych pantoflach poślizgnął się na przybrzeżnych kamieniach.

– A pójdziesz stąd, łobuzie! – dorzuciła swoje trzy grosze przekupka w czerwonej chustce. Pod pachą trzymała żywą gęś, która łypała na chłopca okiem błyszczącym jak koralik i nieżycziwym, wypisz wymaluj takim samym, jakim spoglądała na niego jej właścicielka.

Jerzyk pokazał jej język (gęsi, a nie kobiecie, był przecież dobrze wychowany) i pobiegł dalej wzdłuż brzegu.

Rozglądał się w poszukiwaniu wuja Jana. Nie musiał długo wypatrywać. Wkrótce ujrzał znajomą sylwetkę przystaniowego. Wuj pomachał do niego i na migi pokazał mu, żeby chwilę zaczekał. Jerzyk przycupnął na grubym, okorowanym pniu, przygotowanym na brzegu do spławiania. Przypatrywał się pasażerom. Po opuszczeniu budynku przystani (nazwa ta brzmiała dumnie, była to jednak tylko zwykła barka zabudowana czymś w rodzaju szopy z desek) wszyscy pojedynczo lub grupkami kierowali się w stronę miasteczka. Przeważali wśród nich okoliczni chłopci, którzy chcieli tu coś sprzedać lub w coś się zaopatrzyć. Oprócz tego bystre oko chłopca wyłowiło z tłumku wesołe, eleganckie towarzystwo – z pewnością grupę turystów.

Powiniennem dać znać ojcu! – pomyślał, bo wiedział, że takie piękne panie w modnych kapeluszach i panowie w białych,

letnich garniturach na pewno będą chcieli po zwiedzaniu zjeść suto śniadanie, a może i zakropić czymś mocniejszym, w najlepszej (a po prawdzie także jedynej) restauracji w miasteczku.

Już chciał wyprzedzić rozbawioną gromadkę, kiedy dostrzegł samotnego pasażera, który opuścił statek jako ostatni.

Mężczyzna nie pasował Jerzykowi do żadnej kategorii przyjezdnych. Nie był to nikt z mieszkańców – chłopak przecież znał wszystkich. Sądząc po ubraniu, nie był to także okoliczny rolnik. Na pewno nie Żyd – ci wyróżniali się czarnymi chałatami, wysokimi kapeluszami i długimi pejsami. Nie wyglądał także na uczestnika krajoznawczej wycieczki, oni bowiem o tej porze roku mieli na sobie lżejsze, bardziej sportowe stroje. Ten przybysz ubrany był dość dziwacznie – w ciemne spodnie i butelkowitzoną aksamitną marynarkę, mocno wytartą na łokciach. Szyję miał okręconą brudnożółtym fularem. Na plecach dźwigał niewielki tobołek, a w ręku niósł czarną walizkę pokrytą plamami kolorowych farb.

Jak na jedenastoletniego chłopaka Jerzyk był naprawdę niezłym obserwatorem. Marzył o tym, by, kiedy dorośnie, zostać detektywem podobnym do Sherlocka Holmesa (o ile wcześniej nie zostanie kapitanem wiślanego statku). Z pasją czytał broszurowe powieści sensacyjne, które można było za parę groszy kupić w sklepie ciotki Pauliny. Czerpał z nich bezcenną wiedzę o dedukcji i metodach prowadzenia dochodzenia.

Dziwnie odziany mężczyzna niepewnie ruszył pod górę.

Jest tutaj pierwszy raz. Nie wie, dokąd iść – wywnioskował Jerzyk.

– A, tuś mi, wisusie! – usłyszał wesoły głos wuja Jana i natychmiast zapomniał o tajemniczym podróżnym. Zerwał

się na równe nogi i pozwolił, żeby wuj dłonią zwichrzył mu włosy, czego zwykle, jako urodzony elegant, nie cierpiał. Ale dla wuja Jana dałby się nawet pokroić.

Przystań opustoszała, tylko paru rybaków uwijało się jeszcze przy łodziach. Jerzyk i wuj Jan poszli rozdeptanym przez wiele par nóg brzegiem. Nieopodał wuj miał swoje ulubione miejsce. Siadywał tu często z fajeczką w zębach, na wysokim pagórku nad samiutką wodą, oparty plecami o pień rosochatej wierzby. Siedział w milczeniu i patrzył na rzekę, a jego oczy, ukryte pod siwymi brwiami, miały kolor wiślanej fali.

Jerzyk bardzo lubił siedzieć przy jego boku. Co jakiś czas wuj pykał z fajeczki, a jeśli siedziąco się wystarczająco cicho i cierpliwie, można było doczekać się opowieści. Wuj Jan spędził całą młodość na Wiśle. Tu, w Czerwińsku, mówiło się o takim człowieku „wodniak”.

– Czego to ja na Wiśle nie robiłem! – wspominał, przy-mrużywszy oczy. – I towary różne woziłem, i retmaniłem za młodu, i wydobywałem z dna rzeki kamienie, żwir albo piasek. Ciężko się człowiek napracował, ot co! – wuj zakurzył fajkę i zaniósł się głośnym kaszlem. – Jeszcze nawet wiele lat po ślubie z twoją ciotką, ledwo przyszła wiosna, ledwo rzeka ruszyła, a my już do łodzi i tak aż do jesieni... Dzieci nam się porodziły i też się na Wiśle chowały... Dopiero jak się płuca od tej wilgoci popsuły, musiał człowiek pomyśleć o życiu na stałym lądzie. Co było począć? Przyszło się z rzeką pożegnać! – wuj westchnął ciężko i znowu zakaszał.

– Nie tak bardzo znowu się wuj pożegnał – uśmiechnął się Jerzyk. – Pracuje wuj na przystani i nawet mieszka na górcie nad samą wodą.

– No tak, tak – potwierdził przystaniowy. – Bo wiesz, smyku, ja muszę ją widzieć przez okno od razu, kiedy się budzę. Muszę wiedzieć, czy jest w dobrym humorze, czy zagniewana, wesoła czy smutna...

Stary wodniak zapatrzył się przed siebie i przez chwilę obaj milczeli. Wreszcie Jerzyk ostrożnie wyciągnął rękę i szarpnął wuja Jana za rękaw.

– Niech wuj opowie... – wyszeptał błagalnie.

– A o czym byś chciał posłuchać?

– O topielcu! – poprosił Jerzyk żarliwie.

– A nie będziesz się bał? – zapytał wuj, chociaż chłopak tyle razy już słyszał tę historię, że znał ją niemal na pamięć.

– Nie! – zapewnił Jerzyk z zapałem.

– No, to było wtedy, kiedyśmy z twoją ciotką Ewą wozili kryptą owoce do Torunia. Pewnego razu, trochę za Wyszogrodem, rzuciliśmy na noc kotwicę i poszliśmy spać na tył, pod budę. Ciasno było, ale ciepło – wuj uśmiechnął się pod wąsem. – Wszyscy na kupie spali, żona, ja, dwaj mali synkowie. Nagle, w środku nocy słyszę jakiś rumor, jakby kroki. Wystawiłem głowę spod budy – ciemno, choć oko wykol! – nic nie widać. Cicho. Położyłem się z powrotem i zasnąłem. Po chwili budzi mnie żona. „Idź – powiada – zobacz, co się tam dzieje, bo ktoś chodzi koło masztu”. Wstałem, namacałem burtę i idę po omacku, noga za nogą po belce wzdłuż łodzi. Idę i słyszę – ktoś stąpa przede mną. Kroki doszły do kołowrotu kotwicy i ucichły. Postąłem tak chwilę, nic więcej nie usłyszałem i wróciłem. Ledwo się położyłem, a tu – tup, tup, tup – znowu słyhać, że ktoś chodzi! I tak aż do rana! Przez całą noc szurało po pokładzie. Zawsze tak samo – jakby niewidzialny człowiek

prowadził mnie na dziób statku, a tam zniknął. O pierwszym brzasku postanowiłem uciekać z tego przeklętego miejsca. Idę na dziób podnieść kotwicę. Ciągnę i ciągnę, ale jakoś ciężko idzie. Wołam żonę, ciągniemy wspólnie, nagle patrzymy – razem z kotwicą z wody wyciągamy ludzkie ciało! Topielec zaplątał się nam w kotwiczny łańcuch! Pewnie nieszczęsna dusza chciała nam pokazać, gdzie trzeba szukać, i dlatego całą noc robiła taki harmider.

Jerzyka za każdym razem, gdy słyszał tę opowieść, przechodziły dreszcze.

Usłyszał szelest i wzdrygnął się. Ktoś schodził ku nim po stromym zboczu, coś białego zamajaczyło w zaroślach.

– Wiedziałam, że was tu znajdę! – usłyszeli głos ciotki Ewy i za chwilę spomiędzy porastających brzeg chaszczki wyszła szczupła kobieta w ciemnej sukni i białym fartuchu. – Znowu tu przesiadujesz? – zwróciła się do wuja. – Chcesz, żeby cię zaczęło łamać w kościach?

Wuj w zakłopotaniu potarł sobie siwego wąsa.

– Już, już idę... Na chwilę tylko z Jureczkiem przysiadłem...

– Śniadanie na stole, a ty wędrujesz Bóg wie gdzie! – strofowała go ciotka. – A ciebie, kawalerze, przypadkiem w domu nie potrzebują? – zapytała chłopca.

– Ciociu, niech się ciocia nie gniewa... – zaczął się tłumaczyć Jerzyk, ale energiczna kobieta już go nie słuchała. Chwyliła męża pod ramię i poszli razem ścieżką ukrytą w zaroślach.

Jerzyk popatrzył za nimi, a potem puścił się biegiem z powrotem, wzdłuż rzeki.

Od przystani na brzegu Wisły mała błotnista uliczka wiodła prosto jak strzełił pod same drzwi restauracji. Jerzyk błys-

kawicznie pokonał tę drogę i frontowymi drzwiami wpadł do sali jadalnej. Było tu pusto i przyjemnie chłodno. W głębi, przy bufecie, na tle ogromnego ciemnego kredensu, w którym za kryształowymi szybami kryły się rozmaitych kształtów i kolorów butelki z nalewkami, stał ojciec Jerzyka, jak zawsze w nieskazitelnie białej koszuli i czarnym krawacie. Zza drzwi po lewej, wiodących do mniejszej sali, dobiegał gwar podochoconych głosów – zapewne wesołe towarzystwo ze statku już zasiadło do biesiady. Tutaj tymczasem panowała cisza. Tylko jakaś przebiegła mucha, której udało się uniknąć porozwieszanych tu i ówdzie lepów, pobzykiwała na szybie wąskiego okienka przy drzwiach.

Jakiś mężczyzna stał tyłem do Jerzyka, oparty o bufet oklejony reklamami Piwa Skierniewickiego Władysława Strakacza i wyrobów browaru Haberbusch i Schiele. Gdy chłopiec podszedł bliżej, rozpoznał dziwnego przyjeźdnego w zielonej marynarce, którego widział rankiem na przystani. Przygarbiony nad bufetem, obojętnie sączył piwo z wysokiej szklanki. Jerzyk zauważył, że nigdzie w pobliżu nie widać ani tłumoka, ani poplamionej walizy.

– Z drogi! – Tomasz wyskoczył zza lady, fachowo, po kelnersku balansując wielką tacą pełną talerzy. Najwyraźniej państwo w drugiej sali miało duży apetyt.

– Tomek! – szepnął Jerzyk, łapiąc brata za biały, wykrochmalony mankiet. – Nie wiesz, co to za jeden? – nieznacznym ruchem głowy wskazał mężczyznę przy bufecie.

– Nie wiem – powiedział Tomasz. – Jakiś nowy gość. Szukał noclegu.

– U nas będzie mieszkał? – zainteresował się Jerzyk.

– A gdzieżby indziej? No, puszczaj mnie, smyku, bo mi tu zupa stygnie! – wywinął się z uchwytu Jerzyka i, nie urojniwszy nawet kropli z pełnej po brzegi parującej wazy, lekkim krokiem wbiegł do bocznej sali, gdzie przywitał go radosny okrzyk wygłodniałych wycieczkowiczów.

Jerzyk przez kuchnię wydostał się na podwórze, a stamtąd po drewnianych schodach wdrapał na galerijkę prowadzącą do mieszkania.

– Jerzyk, bój się Boga, gdzie ty biegasz od rana? – usłyszał głos matki.

Ludwika Grabowska była podobna do swojej siostry Ewy nie tyle z wyglądu, co z charakteru: tak samo stanowcza i energiczna. Krótco trzymała całą liczną rodzinę i domowników. Jerzyk dobrze wiedział, że z nią żartów nie ma.

– Poszedłem zobaczyć bocznokołowiec – powiedział.

– Co dzień biegasz na przystań i co dzień ten sam statek przyplływa! Nie wiem, co tam jest do oglądania... – cierpko skomentowała matka.

– Jakiś obcy dzisiaj przyjechał.

– Wiem – pokiwała głową. – Będzie u nas nocował.

– Długo zostanie?

– Nie powiedział. Zanieś no, synku, świeżą pościel do pokoju. Ja zaraz przyjdę i mu pierzynę powlekę.

Jerzyk wziął od matki płócienne powłoczki. Po obu stronach mrocznego korytarzyka znajdowały się drzwi prowadzące do pokojów. Jedne z nich były uchylone.

Najwyraźniej przybysz nie zdążył jeszcze na dobre rozgocścić się w maleńkim, przytulnym pokoiku, zwanym przez ojca „kajutą”. Rzucił tylko swoje rzeczy na łóżko i zszedł na dół, do restauracji.

Z bliska czarna waliza wydała się schludnemu Jerzykowi niemożliwie brudna, pokryta błotem i zaschniętą farbą. Skrzywił się na myśl, że zaplami czystą narzutę. Ależ matka będzie narzekać! Bez zastanowienia chwycił walizkę, żeby postawić ją na podłodze. Nie zauważył, że była niedomknięta. W chwili, kiedy ją podnosił, coś z niej wyleciało i spadło na ziemię, hurgocząc o metalową ramę łóżka. Jerzyk rzucił się na kolana. Gość nie powinien zauważyć, że ktoś ruszał jego rzeczy.

Gdzie to jest, u diabła? – myślał, szukając gorączkowo. – Ach tam, pod łóżkiem – coś ciemnego połyskiwało metalicznie spoza frędzli. Chwycił czarny przedmiot, podniósł do oczu i natychmiast znów upuścił, tłumiąc okrzyk przerażenia.

Pod jego stopy upadł wielki, lśniący rewolwer.